Legat Izydora

Był wyjątkowo ponury, słotny, jesienny wieczór. Biały Rolls Royce powolutku i majestatycznie sunął przez żwirowy podjazd obsadzony po obydwu stronach ogromnymi platanami w kierunku okazałej willi, położonej w zacisznej dzielnicy Krosna, przy ulicy Generała Maczka. Za kierownicą siedział elegancki, szpakowaty pan, ubrany w ciepły, brązowy płaszcz z wielbłądziej wełny, idealnie skrojony grafitowy garnitur, sztyblety w kolorze koniaku oraz welurowy, kasztanowy kapelusz. Gdy samochód się zatrzymał, a kierowca wysiadł, niemal natychmiast głośnym szczekaniem przywitały go dwa pokaźne bernardyny, szaleńczo machające ogonami – Kokos i Melon.

- Witajcie pieseczki – powiedział pogodnie mężczyzna, przytulając mocno zwierzaki, które wybiegły przez lekko uchylone drzwi wejściowe. Jak się macie? Tęskniłyście za mną? – zapytał ich, kierując się w stronę wejścia.
- Dobry wieczór panu – rzekł kamerdyner ubrany w nienaganny czarny garnitur, białą koszulę okraszoną perfekcyjnie zawiązanym bordowym krawatem w delikatną pepitkę.
- Dobry wieczór, Alfredzie – odpowiedział Izydor.
- Jak panu minął dzień? – zapytał Alfred.
- Wybornie – zdawkowo odrzekł starszy pan.
- Czy życzy sobie pan herbatę? – zapytał kamerdyner.
- Naturalnie, Alfredzie! O niczym innym nie marzę. Ale ziąb! Nie czuję palców u rąk i stóp. Podaj ją proszę w salonie – dodał Izydor.
- Oczywiście, proszę pana. Earl Grey z sokiem malinowym i miodem lipowym? – upewnił się Alfred.
- Poproszę! – rzucił Izydor. Kokos, Melon chodźcie – zwrócił się do psów.

Nestor rodu Podkówka, pan Izydor, lekko styrany po całym dniu użerania się z klientami, wreszcie zasiadł w swym ukochanym skórzanym fotelu w kolorze kalwadosu, rozkoszując się ciepłem z kominka i ciesząc swe oczy płonącymi brzozowymi polanami. Widok ten dostarczał mu nie tylko radości, ale też koił jego nadszarpane nerwy. Wielokrotnie powtarzał, iż stokroć razy woli oglądać radośnie skaczące iskierki w kominku, aniżeli przygnębiające wiadomości w telewizji, które zwykle sprawiały, że popadał w melancholijny albo wręcz rozdrażniony nastrój. Kokos i Melon potulnie leżały u jego stóp, również grzejąc się ciepłem z kominka.

Salon, w którym odpoczywał Podkówka, był zarazem biblioteką. Był on sporych rozmiarów, gustownie umeblowanym i udekorowanym ze smakiem pomieszczeniem. Na ścianach w kolorze aksamitnego agatu wisiały obrazy w pozłacanych ramach przedstawiające konie, które gospodarz kochał ponad życie. Pod łukowym oknem ustawione było masywne, dębowe, rzeźbione biurko – sekretarzyk z tuzinem finezyjnych szufladek. Dookoła znajdowały się regały po brzegi wypełnione niezliczonymi woluminami o przeróżnej tematyce. Były wśród nich dzieła literatury klasycznej, encyklopedie, dzieła botaniczne, podróżnicze, a także kilka pozycji literatury fantastycznej, którą Izydor fascynował się od niedawna. Można by rzec, iż był to jego nowy konik, którym zaraził się od swego wnuka Ambrożego. Ów salon był ulubionym pokojem pana Izydora, w którym spędzał każdą wolną chwilę. Połączony był on z niewielkim ogrodem zimowym, dumą pana Podkówki, w którym hodował wszelkie rodzaje kaktusów, palm, krotonów i storczyków. Kolekcjonował je od lat, pieczołowicie pielęgnował i były jego oczkiem w głowie. Nikomu nie pozwalał się zbliżać do swoich skarbów, jak miewał nazywać swe rośliny. Botanika była jego wielką pasją, podobnie jak i podróże. Uwielbiał zwiedzać inne kraje, a zwłaszcza te, leżące na Dalekim Wschodzie – Japonię, Chiny, Koreę, poznawać ich kulturę, zwyczaje, delektować się niepowtarzalnymi przysmakami. Z każdej podróży przywoził niesamowite pamiątki, które dumnie zdobiły salon i nadawały mu niepowtarzalny, oryginalny wygląd.

Pan Izydor Podkówka od ponad pół wieku był szanowanym, lubianym i doskonale znanym adwokatem w Krośnie. Jego kancelaria mieściła się w jednej z zabytkowych kamienic, w samym rynku miasta, nieopodal kościoła farnego przy ulicy Piłsudskiego. Od lat była zawsze wypełniona klientami oczekującymi na fachową pomoc ze strony adwokata Podkówki. Jego zaufana sekretarka, Lilianna Żuczek, dzielnie wspierała go, niejednokrotnie doradzając i parząc najlepszą kawę na świecie, dzięki której umysł Izydora pracował na najwyższych obrotach, mimo iż był on już leciwym jegomościem, bowiem liczył sobie ponad siedemdziesiąt wiosen. Lilianna była córką jego najlepszej przyjaciółki, Róży Żuczek, z którą znali się od najmłodszych lat. Izydor uwielbiał towarzystwo Lilki, jej opanowanie, kompetencje i sposób, w jaki traktowała klientów. Była ona zawsze uśmiechnięta, radosna, z poczuciem humoru, a przede wszystkim cierpliwa niczym anioł i odporna na dąsy Izydora oraz jego klientów. Potrafiła zażegnać każdy spór i załagodzić każdą kłótnię. A przy tym wyglądała niczym przysłowiowy milion dolarów. Była trzydziestoletnią, średniego wzrostu szatynką, o prostych, sięgających ramion włosach, szmaragdowych oczach, długich, gęstych rzęsach i perlistym uśmiechu. Zwykle ubrana była w znakomicie skrojone kostiumy, które szyła dla niej mama, czyli pani Róża, będąca jedną z najlepszych krawcowych w mieście. Jej miła aparycja oraz usposobienie powodowały, że błyskawicznie zjednywała sobie przyjaciół, w przeciwieństwie do swego pracodawcy, pana Izydora, który miał po równo przyjaciół, jak i wrogów. Jedni go uwielbiali, zaś inni gotowi byli utopić w łyżce wody. Izydor jednak wcale tym się nie przejmował. Robił swoje i mimo że mógłby się już dawno cieszyć emeryturą, nawet o tym nie myślał. Praca dawała mu ogromną satysfakcję, a fakt, iż pomagał ludziom, dodatkowo dowartościowywał jego ego. Zdarzało mu się pracować nawet siedem dni w tygodniu, nie zawsze pobierał za to należne honorarium. Bez wątpienia był szlachetnym człowiekiem, o wielkim sercu i geście, ale nie lubił być określanym mianem filantropa. Chętnie wspierał akcje charytatywne, finansował różne przedsięwzięcia, pomagał potrzebującym, ale w tej kwestii wolał pozostawać anonimowym darczyńcą. Miał nienaganne maniery, był szarmancki, wygadany i czarujący, aczkolwiek czasem miewał muchy w nosie, ale przecież te miewa każdy z nas, nieprawdaż?

Izydor sączył herbatę, delektując się jej wysublimowanym smakiem, wpatrywał się w żarzące się polana, głaskał ukochane psy i rozmyślał o czekającej go wkrótce ważnej uroczystości, którą planował szczegół po szczególe. Znany był on ze swej drobiazgowości. W najbliższy październikowy weekend miał celebrować swoje 75. urodziny. Myśl o spotkaniu się z synem, córką oraz wnukami napawała go ogromną radością, tym bardziej, iż od dawna krewni nie mieli okazji spędzić ze sobą całego weekendu. Syn mieszkał z rodziną w Krakowie, zaś córka w Lublinie. Każdy miał swoje życie, obowiązki, pracę. Maurycy, syn pana Izydora, był wybitnym neurochirurgiem w Szpitalu Uniwersyteckim, zaś córka Marianna cenioną romanistką wykładającą na KUL-u. Na co dzień pozostawały im tylko wieczorne rozmowy przez telefon lub Skype'a, które Izydor wręcz ubóstwiał. Z wnukami, a miał ich czwórkę – Ambrożego, Hiacyntę, Zachariasza i Jagódkę – widywał się podczas ferii zimowych oraz wakacji, które spędzały w jego willi. Uwielbiał te chwile w gronie wnuków, wspólne zabawy, pogawędki. Musiał przyznać, iż brakowało mu regularnych rodzinnych spotkań, gwaru, przekomarzania się, bowiem wówczas jego ogromny dom tętnił życiem, a Izydor nie odczuwał samotności.

- Czy podać kolację? – nagle z zamyślenia wyrwał go głos poczciwego Alfreda.
- Tak, pod warunkiem, że zjesz ze mną. Musimy omówić strategię na weekend – odparł z nieukrywaną w głosie ekscytacją Izydor.
- Z przyjemnością – odrzekł kamerdyner.

Już po chwili mężczyźni siedzieli w jadalni, jedząc smakowitą pieczoną kaczkę po chińsku w pomarańczowym sosie, z ryżem i jabłkami oraz popijając wybornym wytrawnym czerwonym winem, które Izydor przywiózł z jeden ze swych wypraw. Ochoczo, ale i

drobiazgowo rozprawiali o przyjęciu urodzinowym nestora, planując usadzenie gości, wybierając nietuzinkowe menu, decydując o atrakcjach tego wyjątkowego wieczoru. Gospodarz doskonale wiedział, że całkowicie może zaufać poczciwemu Alfredowi. Był nie tylko kamerdynerem Izydora, ale także jego najlepszym przyjacielem, i tylko fakt, iż Alfred był znacznie młodszy od swego pana nie pozwalał zwracać mu się do niego po imieniu, mimo iż Izydor wielokrotnie o to zabiegał. Alfred był przystojnym, dobrze zbudowanym brunetem o dużych, migdałowych oczach i maleńkiej, ledwie widocznej bliźnie na lewym policzku – „pamiątce" po wypadku na motocyklu. Miał lekki zarost, który dodawał mu uroku. Jego twarz wzbudzała zaufanie, zaś oddanie, dystyngowane maniery i lojalność niemal codziennie zaskakiwały Izydora. Podobnie jak niesamowity talent kulinarny, z którego słynął Alfred. Nie tylko potrafił świetnie gotować, ale i piec wyszukane ciasteczka, ciasta, placki, a wiedząc, jak bardzo Izydor fascynuje się krajami Dalekiego Wschodu, częstokroć serwował mu właśnie wykwintne orientalne potrawy. Nie wspominając już o zaangażowaniu, elokwencji i dyskrecji, był ponadto doskonałym kompanem do rozmowy, gry w szachy czy brydża. Bywało, że rozumieli się bez słów, zwłaszcza gdy Izydor był nie w sosie. Wówczas Alfred o nic nie pytał, tylko momentalnie znikał z pola widzenia.

- Pójdę się położyć. Na dziś dość wrażeń – rzekł sennym głosem Podkówka.
- Dobrej nocy, panie Izydorze – odparł kamerdyner.
- Nawzajem – rzucił na pożegnanie Izydor i udał się do swojej sypialni. Zasnął jak tylko przyłożył głowę do poduszki. To był istotnie wyczerpujący dzień.

Następnego ranka, gdy Podkówka otworzył drzwi kancelarii, przywitał go mocny zapach świeżo zaparzonej włoskiej LavAzzy. Lilianna siedziała przy swoim biurku i skupiona pracowała na laptopie, jej place z impetem uderzały w klawiaturę, ale wydawała się jakaś nieswoja, wręcz rozdrażniona.

- Dzień dobry, panie Izydorze – rzuciła na powitanie.
- Witaj, Lilko – odparł Podkówka.
- Jak idą przygotowania do wielkiego wydarzenia? – zapytała.
- Znakomicie – odrzekł Izydor i puścił do niej oko.
- Jasne! Znając pana, to wszystko jest już zapięte na ostatni guzik – roześmiała się Lilka.
- Otóż to! Ilu mamy dziś petentów? – zapytał adwokat.
- Trójkę – rozwód, rozbój, kradzież i rozprawę o 11.30 – rzeczowo zreferowała sekretarka.
- Świetnie! Zapowiada się spokojny dzionek – ironizował Izydor. Lilu, czy coś się stało?
- Nie, skądże, a dlaczego pan pyta? – zapytała skonfundowana Liliana.
- Złe fluidy w powietrzu. Czuję, że coś jest nie w porządku. Jesteś jakaś taka ...spięta – powiedział z troską Podkówka.
- Nic takiego. Zapewniam pana. Zanim pan przyszedł, wpadł tutaj Jeremi Bąk. Pamięta go pan? – wyjaśniła sekretarka.
- A powinienem? Jeremi Bąk? Nie, nie kojarzę – odparł Podkówka, skrobiąc się po czole.
- Był u pana dwa tygodnie temu. Rzekomo padł ofiarą oszustwa podatkowego. Jego historia była jednak szemrana, więc go pan, delikatnie mówiąc, pogonił – wyjaśniła Lilka.
- Aaaa, teraz pamiętam. To ten Jeremi Bąk. Twój absztyfikant – roześmiał się Podkówka.
- Panie Izydorze! – Lilianna oblała się pąsem.
- Nie zaprzeczysz, moja kochana, iż pan Bąk robił do ciebie maślane oczy. Ach te jego teatralne gesty, te czułe słówka. Skradłaś mu serce. Bez dwóch zdań – Podkówka rozbawiony ciągnął temat.
- Panie Izydorze! – powtórzyła Lilka, której twarz przypomniała w tej chwili piwonię. – On nie jest w moim typie. Nie jestem zainteresowana – dodała.
- Lilko, ależ nie ma się czego wstydzić. No dobrze. Przepraszam, już nie będę. Czego chciał pan Jeremi? Przyszedł do mnie czy do ciebie? – zapytał adwokat i puścił oko do całkowicie zawstydzonej dziewczyny.

- Nalegał na rozmowę z panem. Twierdził, że policja go nęka, a on jest niewinny. Chciał, żeby go pan reprezentował – wyjaśniła sekretarka.
- Co za typ?! Przecież już raz stanowczo odmówiłem. Też nie jestem zainteresowany jego osobą! Zaraz zadzwonię do niego i mu to dobitnie wyjaśnię. Czy mam mu również objaśnić, że nie jesteś zainteresowana jego amorami? – zapytał odrobinę rozindyczony Izydor i skierował się do swego gabinetu.
- Jak pan uważa – skwitowała Lilka, ale w głębi duszy poczuła ulgę, że już nie będzie musiała się naciągać z Jeremim Bąkiem, który według niej był namolnym wazeliniarzem.

Po mniej więcej kwadransie Podkówka z uśmiechem od ucha do ucha uchylił drzwi gabinetu i głosem skowronka rzekł: „Załatwione", po czym znów puścił oko do Lilki, a ona także mrugnęła do niego i odwzajemniła uśmiech. Mimo że dzień był intensywny, klienci dość trudni, a rozprawa długa i żmudna, to adwokatowi minął on dość szybko. Może dlatego, że jutro czekała go wielka uroczystość urodzinowa, a myśl o spotkaniu z najbliższymi oraz znajomymi dodawała otuchy i skrzydeł.
- Do zobaczenia jutro, Lilko. Przyjedziesz z mamą? – rzucił na odchodne Izydor.
- Oczywiście! Do zobaczenia, panie Izydorze – odpowiedziała sekretarka.

Po powrocie do domu, Podkówka sprawdził po raz ostatni, czy wszystko jest gotowe na jutrzejsze przyjęcie. Stół był już nakryty, wazon z ulubionymi herbacianymi różami stał na jego środku, niespodzianki oraz atrakcje przyszykowane. Izydor skrzętnie omówił jeszcze ostatnie szczegóły z Alfredem i poszedł się położyć, by odpocząć i nabrać sił. Nie był w stanie ukryć radości i ekscytacji. Trapił go jedynie fakt, że jutro kończył 75 lat. Wciąż tryskał energią, wigorem i zapałem, nie chorował, ale bądź co bądź osiągał słuszny wiek, który zobowiązywał do zwolnienia tempa, zadumy, a może i zasłużonego odpoczynku. Rozmyślał o swym życiu, o swoich sukcesach i porażkach, robił tak zwany bilans zysków i strat. Myśli kotłowały się w jego głowie. Wspominał także swoją ukochaną żonę, Jadwigę, która zmarła dziesięć lat temu po ciężkiej chorobie. Ogromnie mu jej brakowało. Mimo zmęczenia sen jakoś nie przychodził, więc Podkówka sięgnął do szuflady szafki nocnej, wyciągnął z niej malutką tabletkę melatoniny, połknął ją, popijając szklanką niegazowanej wody mineralnej, zgasił lampkę i wreszcie koło północy zasnął snem sprawiedliwego.

Noc była spokojna i cicha, niebo skrzyło się miliardem maleńkich gwiazdek, które przypominały rozsypane diamenty, a księżyc schowany za chmurami subtelnie oświetlał całą okolicę. We wszystkich domach przy ulicy Generała Maczka panowała ciemność, co oznaczało, że mieszkańcy są pogrążeni w śnie. Nagle, około godziny drugiej, przy wjeździe do willi adwokata, pojawiła się postać od stóp do głów ubrana na czarno, która zwinnie, a zarazem bezszelestnie niczym wojownik Ninja przeskoczyła przez mur, następnie szybkim truchtem pokonała podjazd i znalazła się przy budynku. Z plecaka wyciągnęła linę z kotwicą, zarzuciła ją w kierunku rynny, po czym zręcznie przy jej pomocy zaczęła się wspinać po murze domu. Gdy dotarła do jednego z okien na piętrze, zatrzymała się, ponownie sięgnęła po coś do plecaka, chwilę majstrowała przy oknie, po czym wślizgnęła się do środka. Po kilku minutach owa tajemnicza sylwetka ponownie pojawiła się w oknie. Najpierw delikatnie i bezgłośnie je zamknęła, po czym chyłkiem przy użyciu liny zeszła po murze. Stojąc już na ziemi, zwinęła linę i włożyła ją do plecaka, ale nie zauważyła, jak maleńkie zawiniątko wypadło jej z lewej kieszeni skórzanej kurtki i upadło nieopodal pokaźnego krzaku hortensji tamże rosnącego. Postać ukradkiem zerknęła na zegarek i żwawo udała się w kierunku muru, który chyłkiem przeskoczyła i zniknęła za rogiem ulicy.

Nastał ranek, Alfred krzątał się w kuchni, gdy usłyszał mocne kołatanie do drzwi. Poszedł otworzyć.
- Dzień dobry, Alfredzie – usłyszał piszczące głosy wnuków Izydora tłoczących się pod drzwiami. A zaraz za nimi stali Maurycy z żoną Agatą oraz Marianna z mężem Tadeuszem.
- Witam państwa – odparł kamerdyner. – Czy wnieść walizki?

- Nie trzeba, Alfredzie. Damy radę – powiedzieli niemal równocześnie Maurycy i Tadeusz, mąż Marianny.
- Gdzie dziadek? – zapytała Jagódka, ulubienica Izydora, najmłodsza z wnucząt.
- No właśnie, gdzie jest solenizant? – zapytała Marianna.
- Pan Izydor jeszcze … śpi – odrzekł spokojnie, ale z tonem zaskoczenia w głosie Alfred.
- Niemożliwe! To do niego nie podobne. Przecież tato to ranny ptaszek – skomentował równie zaskoczony Maurycy.
- Może szykuje dla nas niespodziankę? – zastanawiał się Ambroży.
- Chodźmy na górę. To my zrobimy mu niespodziankę! – zaproponowała Hiacynta.
- O tak! Szybko, pędźmy do niego! – podchwycił pomysł siostry Zachariasz.

Dzieci natychmiast ruszyły po krętych, dębowych chodach do sypialni Izydora, a za nimi udali się Maurycy, Agata, Marianna i Tadeusz, pochód zamykał Alfred. Wszyscy wpadli do pokoju, w którym panował półmrok. Rolety wciąż były zasunięte. Na łóżku leżał nestor. Wyglądał jakby spał. Dzieci natychmiast podbiegły do łóżka i na całe gardło zakrzyknęły: „Dziadziu, wstawaj! Wszystkiego najlepszego!". Jednakże Izydor nie zareagował, nie poruszył się. Rodzice i Alfred natychmiast zorientowali się, że coś jest nie tak, więc nakazali dzieciom wyjść z sypialni.
- Dzieci, zejdźcie z Alfredem na dół. Poszukajcie Koksa i Melona – zakomenderował Maurycy, próbując ukryć zdenerwowanie.
- Dlaczego dziadzio się nie rusza? – zapytał Zachariasz.
- Dziadzio śpi – wytłumaczyła Marianna.

Gdy Alfred wyprowadził dzieci z sypialni, wypadki potoczyły się niczym lawina. Maurycy sprawdził czynności życiowe ojca, wyczuł słaby puls, więc natychmiast rozpoczął akcję reanimacyjną: resuscytacja, masaż serca, sztuczne oddychanie. Marianna na prośbę brata zadzwoniła po karetkę. Wszystko odbywało się w kompletnej ciszy. Cała czwórka milczała, była zszokowana, otumaniona i zdezorientowana, a w ich głowach pulsowało jedno pytanie: „Co się stało?". Niestety, zanim przyjechał ambulans, Maurycy stwierdził zgon. Robił, co mógł, ale nie udało mu się uratować taty. Czuł się fatalnie. Był zdruzgotany, tak jak i pozostała trójka. „Co teraz?" – pojawiło się niewypowiedziane pytanie. „Jak powiedzieć o tym, co się stało dzieciom? – pojawiło się kolejne. Maurycy odkrył na szyi ojca dziwny ślad, jakby od ukucia, więc postanowiono zadzwonić po policję. Zrobił to Tadeusz. Nie mieściło im się w głowach, że nestor rodu Podkówka nie żyje. Na domiar złego mógł zostać zamordowany! Pojawiła się cała masa nurtujących i bolesnych pytań, a jedno z nich brzmiało: „Kto, dlaczego i w jaki sposób mógł to zrobić?"

Po kilku minutach przybyła policja i od razu funkcjonariusze wespół ze śledczymi i technikami kryminalistyki ostro zabrali się do pracy. Zabezpieczyli sypialnię denata, przesłuchali Mariannę, Agatę, Maurycego, Tadeusza oraz Alfreda, ściągnęli odciski palców, przeszukali willę oraz ogród. Śledztwo prowadził Ernest Świerszcz. Był to dobry znajomy zmarłego Izydora. Zapewnił rodzinę, że dołoży wszelkich starań, by znaleźć sprawcę, jeśli okaże się, że było to morderstwo. Niestety, najgorsze przewidywania sprawdziły się, bowiem autopsja wykazała, iż adwokat Podkówka został otruty arszenikiem, który został mu wstrzyknięty w sporym stężeniu w szyję. Nie było szans na uratowanie go, ale ta informacja wcale nie pocieszyła Maurycego, który obwiniał się, że nie zdołał uratować taty. Śmierć Izydora była ogromnym ciosem dla jego rodziny i znajomych. Trudno było się pogodzić z jego stratą. Niepodobna było uwierzyć, że Izydor nie żyje! Było to wręcz niemożliwe, a jednak rzeczywistość okazała się bezlitosna i nie pozostawiała żadnych złudzeń.

Po kilku dniach nadinspektor Ernest Świerszcz przedstawił rodzinie wyniki śledztwa. Policja podczas przeszukiwania sypialni Izydora odkryła, że ktoś za pomocą scyzoryka, noża lub innego ostrego narzędzia otworzył okno od zewnątrz i w ten sposób włamał się do willi, dostając się bezpośrednio do pokoju zamordowanego, na co wskazywały ślady pozostawione

na oknie. Niestety, ani na oknie ani w sypialni adwokata nie odnaleziono żadnych podejrzanych odcisków palców. Już wtedy, bez wyników sekcji zwłok denata, nadinspektor był przekonany, że jego przyjaciel nie umarł śmiercią naturalną. Przeczesując zaś ogród, funkcjonariusze mieli szczęście, bowiem natknęli się na maleńkie zawiniątko, leżące tuż obok potężnego krzaku hortensji. W zawiniątku znajdowała się szklana strzykawka wraz z resztkami niezidentyfikowanej substancji, która po przebadaniu w policyjnym laboratorium okazała się być zabójczą trucizną – arszenikiem. Po zdjęciu odcisków palców ze strzykawki przez ekspertów daktyloskopii, przeszukaniu policyjnej bazy danych oraz przesłuchaniu podejrzanego, wszystko stało się jasne…

Mordercą adwokata okazał się Jeremi Bąk, który dopuścił się klasycznej zbrodni w afekcie. Odmowa pomocy oraz uświadomienie mu przez Izydora, że Lilianna nie jest nim zainteresowana, niezmiernie boleśnie uraziły jego męskie ego, wzbudziły wstyd, zazdrość, gniew, a w konsekwencji pchnęły do tego ohydnego czynu. W przeszłości Jeremi dopuścił się już kilkakrotnie drobnych przestępstw, głównie oszustw podatkowych oraz kradzieży, stad też jego odciski palców figurowały w policyjnej bazie danych. Początkowo szedł w zaparte, zaprzeczając, iż to on jest sprawcą morderstwa, ale dowody przeciw niemu mówiły same za siebie. Odcisków palców przecież nie da się podrobić, a motyw zbrodni był nader oczywisty. Elementy logiczno – kryminalnej łamigłówki sprawnie ułożyły się w całość. Podczas kolejnego kilkugodzinnego przesłuchania, Jeremi wreszcie się złamał i przyznał do popełnionego przestępstwa. Odpowiedział również na nurtujące Ernesta Świerszcza pytanie, skąd wziął arszenik. Bąk objaśnił, że zakupił śmiertelną dawkę trucizny od znajomego hutnika – Lesława Szkiełki, właściciela słynnej krośnieńskiej huty szkła „Józefina" i błagał nadinspektora, by ten nie nękał jego znajomego, który nie był niczego świadom. Za dopuszczenie się morderstwa Jeremi został aresztowany, osądzony oraz skazany. Podczas rozprawy sędzia Henryk Paragraf wprawdzie wziął pod uwagę silny wpływ afektu, który pchnął Bąka do pozbawienia życia adwokata Izydora Podkówki, ale wymierzył mu sprawiedliwy i surowy wyrok, skazując go na dwadzieścia lat pozbawienia wolności. Nadinspektor Świerszcz poinformował rodzinę, iż Bąk prosił o przekazanie, iż bardzo żałuje tego, co zrobił i dałby wszystko, by móc cofnąć czas. Zatem zagadka śmierci adwokata Podkówki została rozwiązana. Nadinspektor Świerszcz był dumny ze swych ludzi, zadowolony z wyników śledztwa, ale mocno odczuwał brak przyjaciela. Rodzina zamordowanego Izydora w pewnym sensie poczuła ulgę, a może i ukojenie, ale potworny ból po stracie ukochanego nestora rodziny Podkówka pozostał.

Po uroczystościach pogrzebowych adwokata Podkówki, w których uczestniczyli chyba niemal wszyscy mieszkańcy Krosna, Alfred zaprosił rodzinę, Liliannę oraz Różę do willi nestora, aby powspominać zmarłego. Podczas kolacji, na której kamerdyner zaserwował ulubione orientalne dania Izydora z japońskiej kuchni, czyli ramen, tokoyaki oraz mochi, przekazał Maurycemu, Agacie, Mariannie, Tadeuszowi, Ambrożemu, Hiacyncie, Jagódce, Zachariaszowi, Lilce oraz pani Róży ową niespodziankę, którą pieczołowicie przygotował wraz z Izydorem, a która miała zostać wręczona podczas przyjęcia urodzinowego, do którego, niestety, z wiadomych względów nie doszło. Alfred rozdał wszystkim obecnym prostokątne, średniej wielkości niebieskie koperty, a w niech bilety lotnicze do … Wietnamu. Wycieczkę tę Podkówka planował od dawna. Bardzo pragnął spędzić ją w gronie rodziny i najbliższych przyjaciół, marzył, by zobaczyć Hanoi, Ho Chi Minh i Lào Cai. Los bywa jednak przewrotny, a nawet nieprzewidywalny i zdecydował inaczej. Nikt z obecnych nie miał wątpliwości co do oryginalności pomysłu oraz gestu Izydora Podkówki, jak również pozostawionego przez niego legatu. Ich serca rozdzierał ból, lecz na twarzy każdego z nich pojawił się delikatny, znaczący uśmiech. Izydor Podkówka z pewnością też go zauważył.

Jakub Szul